

Na Ziemi wylądowałem 34 września. W pośpiechu załatwiłem formalności wjazdowe i natychmiast popędziłem do Okręgowej Stacji Kontroli Rakiet (OSKR). Pośpiech był ze wszech miar wskazany, gdyż termin ważności badania technicznego mojej rakiety kończył się 1 października.

Niektórych zapewne nieco zdziwi data mojego lądowania, ale rzecz jest banalnie prosta – otóż termin kolejnego badania technicznego rakiety zbliżał się nieuchronnie, a ja miałem już spore opóźnienie. Aby zdążyć musiałem rozwinąć maksymalną prędkość, a jak wiadomo w trakcie lotu z prędkością podświetlną czas zwalnia, i to spowodowało wydłużenie miesiąca do satysfakcjonującej mnie miary. Zjawisko to opisałem w moich Dziennikach Gwiazdowych, Podróż Czternasta - uważny czytelnik z pewnością to pamięta.

Z ulgą przekazałem raketę w ręce szefa OSKR, nawiasem mówiąc mojego dobrego znajomego. Z ulgą, ponieważ kary za brak aktualnego badania technicznego są ogromne, a moje dochody, pomimo mej sławy podróżnika (uważam zbytnią skromność za objaw hipokryzji) nie są zbyt imponujące.

Zabrawszy bagaże z rakiety ruszyłem pieszo do domu. Obładowany niczym juczny wielbłąd, budząc zdziwienie przechodniów, spocony i zasapany dotarłem po godzinie na miejsce. Wzruszenie ścisnęło mi gardło na widok starych, znajomych (i potwornie zakurzonych) kątów. Z westchnieniem ulgi rzuciłem bagaże na środek salonu i zdjąłem okrycie wierzchnie. Okazało się, że cały czas byłem w skafandrze kosmicznym, którego z racji pośpiechu nie zdążyłem zmienić po lądowaniu na bardziej odpowiedni na Ziemi przyodziewek. To wyjaśniało zdziwione spojrzenia i ironiczne uśmiechy mijanych podczas pieszej wędrówki ludzi.

Zwykle po powrocie z dalekiej podróży niezwłocznie zabieram się do przeglądania i wstępnego katalogowania zebranych okazów i wszelkiego rodzaju osobliwości. Tym razem jednak, z racji zmęczenia, postanowiłem zaparzyć sobie mocnej kawy i przejrzeć zaległą korespondencję. Skrzynka na listy pękała w szwach. Naturalnie ogromną większość stanowiły foldery reklamowe zachęcające do zakupu dwóch rakiet w cenie jednej, ubezpieczenia od szkód wywołanych upadkiem meteorytu lub do wykupienia wczasów all inclusive na pierścieniach Saturna po niebywale okazyjnej cenie. Wśród korespondencji adresowanej imiennie przeważały z kolei zaproszenia na kongresy, odczyty, prezentacje lub w celu uświetnienia moją skromną osobą uroczystości otwarcia różnego rodzaju instytucji (zaskoczyło mnie między innymi zaproszenie do ceremonialnego przecięcia wstęgi z okazji otwarcia Instytutu ds. Powstrzymania Eksterminacji Mikrobów Chorobotwórczych – no cóż, obrońcy natury wciąż szukają nowych obszarów dla swej aktywności). Jedna koperta przykuła moją uwagę. Ręcznie, starannie wykaligrafowane nazwisko adresata (rzadkość w dzisiejszych czasach) sprawiło, że uśmiechnąłem się domyślnie. Na kopercie widniało jedynie to:

*Pz. P. Ijon Tichy*

Nadawcą mógł być tylko jeden człowiek – mój przyjaciel, odkrywca i myśliciel, naukowiec i wynalazca – profesor Tarantoga. Serce zabiło mi mocniej. Profesor nigdy, ale to przenigdy nie zawracałby mi głowy błahostkami. Delikatnie rozciąłem kopertę nożykiem do papieru wykonanym z kości ogonowej wszechzadnicy marsjańskiej. W środku była jedna kartka zapisana drobnym pismem:

*Drogi Ijonie,*

*Znając Pańską niechęć do czytania przydługich wstępów przechodzę niezwłocznie do rzeczy.*

*Zapewne pamiętasz, Drogi Ijonie, pionierskie czasy pierwszych podróży kosmicznych naznaczone wieloma ofiarami pechowców i bezmiarem wyrzeczeń ideowych astronautów wierzących, że loty międzyplanetarne to klucz do świetlanej przyszłości naszego gatunku. Pamiętasz, jak z nadzieją i obawą nawiązywaliśmy pierwsze kontakty z Rozumnymi z innych planet. Niektóre obawy były uzasadnione szczególnie niskim poziomem rozwoju części cywilizacji (maczugi i stopy ze skwierczącymi na nich nieszczęśnikami nie są najlepszą wizytówką), inne potwierdziły się z powodu naszej niefrasobliwości i nieznamomości kultur wszechświata (któż mógłby przypuszczać, że zwykłe wyciągnięcie dłoni w geście przywitania będzie odebrane przez przewodniczącego delegacji z Plutona za największą obelgę, która może zostać zmasowana jedynie przez rozpylenie na atomy sprawcy afrontu). Krok po kroku poznaliśmy jednak dzielące nas z Innymi różnice i nauczyliśmy się szacunku dla nich. Obecnie kontakty międzyplanetarne są tak powszechne, jak niegdyś wzajemne wizyty wśród znajomych. Dzisiaj naszą planetę odwiedza kilkanaście tysięcy przybyszów spoza Ziemi tygodniowo. Niektórzy przybywają w interesach, inni w celach turystycznych, jeszcze inni chcą studiować na naszych uczelniach, trafiają do nas również międzygwiazdni misjonarze przeróżnych religii i wyznań. W tym miejscu dochodzimy do pewnego niepokojącego zjawiska, które z całym przekonaniem mogę nazwać ANOMALIĄ. Otóż w pewnym rejonie naszej pięknej planety (dokładne namiary podaję na odwrocie niniejszego listu) w ciągu ostatniego miesiąca doszło do zaginięć kilkunastu turystów z różnych rejonów Kosmosu. Zaginionych nie łączy nic poza ich pozaziemskim pochodzeniem. Na razie nikt nie nadaje sprawie rozgłosu (i słusznie, bo gromkie reklamowanie tych przypadków nie leży w interesie Ziemi). Wiem, Drogi Ijonie, że powróciwszy dopiero co z długiej podróży zapewne chciałbyś solidnie wypocząć, a nawet nieco poleniuchować – niestety jestem zmuszony prosić Cię o interwencję w tej delikatnej, a jakże bulwersującej materii. Twoja wszechstronna wiedza kosmiczna oraz niebywała bystrość umysłu predystynują Cię do rozwiązania zagadki. Zapytasz zapewne, dlaczego lokalne służby się tym nie zajmą. Otóż, według mojego skromnego zdania, ich kompetencje nie są, delikatnie mówiąc, zbyt imponujące. Jedynie Twój intelekt w połączeniu ze zmysłem dyplomatycznym może zapobiec niepożądanym konsekwencjom w postaci zatargów dyplomatycznych z innymi Światami. Liczę, że zajmiesz się tą tajemnicą niezwłocznie.*

*Niech Moc będzie z Tobą*

*Twój Oddany Przyjaciel*

*Prof. Tarantoga*

Zaferowany i, co tu dużo mówić, z lekka osłupiały, odwróciłem kartkę, gdzie według słów Tarantogi powinny znajdować się szczegóły dotyczące lokalizacji tajemniczych zaginięć. Europa Środkowa. Skrzywiłem się z rozczarowaniem. Poniżej wypisane zostały nazwy okręgów administracyjnych oraz miejscowości (nie do wymówienia).

Czym prędzej siadłem do komputera, aby ustalić najdogodniejsze połączenia do opisanych miejsc. Z mojej rakiety nie mogłem skorzystać, ponieważ do jutra musiała zostać w OSKR. Po godzinie byłem gotowy. W drogę.

Międzykontynentalna podróż wygodnym grawitoplanem do Europy minęła bez przeszkód. Jedyną niedogodność stanowiły krzyki i śmiechy pozostawionych bez opieki dzieci, których rodzice bez wyjątku zatopieni byli w lekturze. Z niejaką dumą zauważyłem, że niektórzy z pasażerów czytają moje wspomnienia.

Lokalny grawiport nie sprawiał najlepszego wrażenia – mały budynek terminala, farba gdzieniegdzie odłaząca ze ścian, znudzone miny personelu... A to przecież stolica Europy Środkowej. Strach

pomyśleć, co będzie dalej. Czekając na kolejne, już ostateczne połączenie, usiadłem w barze, aby się nieco posilić. Nic, co było w ofercie, nie przypominało z nazwy żadnej ziemskiej potrawy, nie wspominając już, że te nazwy pełne były zbitek literowych nie do wymówienia, jakieś *sz*, *cz*, *dz*, *rz* i masa liter ze znakami diakrytycznymi. Zrezygnowany poprosiłem o jakieś danie na chybił trafił. Po podejrzenie krótkiej chwili stanął przede mną talerz pełen niekształtnej brei koloru khaki upstrzonej niezidentyfikowanymi kawałkami ... czegoś. Nieufnie, a więc ostrożnie, powąchałem zawartość talerza. Aż mi świece w oczach stanęły! Co za fetor! Z obrzydzeniem odsunąłem lokalny specjał i czym prędzej skierowałem się do poczekalni. Wychodząc z baru usłyszałem za plecami mruknięcie kelnerki:

-Patrzcie, bigos mu nie leży. Światowiec zakichany.

Nie byłem pewien znaczenia tych słów, więc nauczony doświadczeniami wielu podróży nie zareagowałem. Usiadłem w poczekalni i nudząc się potwornie czekałem na odlot mojego grawitolotu. Kiedy rozbrzmiał komunikat zapraszający na pokład ruszyłem wraz z innymi pasażerami do wskazanej bramki. Współpasażerowie okazywali niejaką nerwowość, sapali i tłoczyli się w wąskim przejściu. W końcu znalazłem się wewnątrz wehikułu, odnalazłem swoje miejsce i usiadłem w fotelu, którego obicie było poplamione i ozdobione dziurami wypalonymi przez popiół z papierosów. Pięknie.

-Witamy na pokładzie grawitolotu linii PKS. Życzymy miłej podróży. – dźwięk z głośników brzmiał jak mowa pogrzebowa.

Krótki lot poświęciłem na lekturę przewodnika po okolicach, do których zmierzałem. Skupienie się na treści nie przyszło mi łatwo, ponieważ niektórzy z pasażerów zachowywali się cokolwiek zbyt głośno racząc się przy tym mętnym płynem z brudnych butelek.

Z przewodnika dowiedziałem się, że miejsce docelowe to ośrodek małego okręgu administracyjnego, gdzie w zasadzie nie ma nic interesującego dla człowieka obytego w świecie (i wszechświecie). Jedyną ciekawostką stanowił fakt, że pod miasteczkiem ciągnęły się kilometrami korytarze będące pozostałością po kopalni kredy. Lokalne podania twierdzą, że w tych korytarzach straszy duch, od koloru kredy zwany Bieluchem. Co za ciemnota! Nie będzie mi łatwo rozwiązać tu tajemnicę zaginięć Innych.

-Proszę o zapięcie pasów. Za pięć minut lądujemy w powiatowym grawiporcie w Chełmie – z głośników rozległ się zachrypnięty głos stewardessy.

Pozwólcie, że nie będę opisywał miejsca, jakie ujrzałem po wylądowaniu. Miałem wrażenie, że znalazłem się w jakimś skansenie z XX wieku. Trudno uwierzyć, że są jeszcze takie miejsca na Ziemi.

Kolejne dwie godziny spędziłem na poszukiwaniach celu mej wyprawy. Zagadując autochtonów otrzymywałem na przemian prawidłowe i mylne (przekazywane z premedytacją) wskazówki, w którą stronę mam się udać. Wreszcie stanąłem przed niedużym, zadbanym budynkiem, który na tle innych wyróżniał się czystością. Nad wejściem widniała tabliczka z napisem:

Powiatowa Ekspozytura Policji Galaktycznej w Chełmie

Byłem na miejscu. Miałem nadzieję, że Galax-Pol, w przeciwieństwie do lokalnej policji dysponuje odpowiednim materiałem śledczym, który pomoże mi rozwiązać postawione przede mną zadanie.

W dyżurce zastałem mało rozgarniętego funkcjonariusza. Za żadne skarby nie chciał mnie dopuścić do szefa placówki. Nie pomagały rekomendacje i referencje agencji kosmicznych, instytutów naukowych, a nawet mojego wydawcy. Dopiero legitymacja funkcjonariusza Policji Galaktycznej

przemówiła mu do rozumu. Nawiasem mówiąc legitymację tę otrzymałem zupełnie honorowo, ale od samego Komendanta Wydziału Ziemi Galax-Polu w dowód wdzięczności za to, że podczas pewnego bankietu uratowałem Komendantowi życie. Spożywając łąpczywie smażone zmarślaki wenusjańskie zakrzusił się on jednym z nich i już mu oczy na wierzch wychodziły, kiedy trzepnąłem go mocno w plecy, a dławiący go zmarślak wypadł mu z ust prosto w dekolt żony ambasadora systemu planetarnego Syriusza. Dama, będąc już w szampańskim nastroju, niewiele przejęła się tym incydentem, natomiast Komendanta opanowała z tego powodu niepohamowana wesołość, którą udało się zneutralizować szklanką wody mineralnej i recytacją poezji laureatów Nagrody Nobla.

Tak oto dzięki nieistotnemu na pozór zdarzeniu z przeszłości udało mi się sforsować dyżurkę i stanąć przed drzwiami gabinetu szefa ekspozytury. Tabliczka na drzwiach oznajmiała, że rezyduje tu Kapitan Maksymilian Szeł. Wszedłem do środka bez pukania. Niepozorny człowieczek w cywilnym garniturze nie wstając zza biurka bez słowa zaprosił mnie gestem, abym usiadł. Przyglądał mi się w milczeniu. Na ścianie za jego plecami dostrzegłem półkę z książkami. Poza pozycjami fachowymi (*Sherlock Holmes*, *Poirot*, *O7 Zgłoś Się*) zauważyłem kilka znajomych tytułów. Oprawne w czerwoną skórę ze złoceniami stały tam moje *Dzienniki Gwiazdowe*, *Wizja Lokalna*, *Kongres Futurologiczny*. Człowiek, który czyta takie wydawnictwa MUSI wyróżniać się inteligencją, erudycją i nieskazitelnymi manierami. Nie pomyliłem się.

-Jakie лихо tu pana przygnało, panie Tichy? – zapytał uprzejmie.

Rozpoznał mnie. Z miejsca zapałałem do niego sympatią. W skrócie przedstawiłem cel swojej wizyty akcentując niesłychaną wagę problemu, jaki przyszło mi rozwiązać.

-Niepotrzebnie wściubia pan nos w nie swoje sprawy. Jest pan fantastą, podobnie jak Tarantoga. Wasze działania mogą tylko zaszkodzić. Pozwól pan, że to my będziemy zajmować się sprawą tajemniczych zaginięć. Jak znam pańską wybujałą wyobraźnię (tu wskazała na moje książki), będzie się pan doszukiwał jakichś racjonalnych, popartych naukowymi teoriami rozwiązań. – zdumiała mnie jego przenikliwość.

-Ale przecież... - spróbowałem polemiki.

-Żadne ale. My już mamy tę sprawę rozpracowaną. Wiemy co, wiemy kto, wiemy dlaczego. Nie wiemy tylko jeszcze gdzie. – przerwał mi.

-Ale...co...gdzie... - podtrzymałem konwersację.

-Ale, ale... - zacytował mnie. – Nie wiemy jeszcze gdzie jest sprawca.

-Sprawca??? – moje zdumienie sięgnęło dolnych rejonów stratosfery.

-A myśli pan, że ci pozaziemscy turyści zniknęli tak sami z siebie? – zapytał racjonalnie Szeł.

-Czy mogę prosić o wyjaśnienia? – zżerała mnie ciekawość.

-Aleś pan wścibski. No dobra, ale to będzie dłuższa historia. Bez dopingu nie pociągniemy. – mówiąc to wyjął z szafki przy biurku butelkę z mętnym płynem i dwie szklanki. Widząc moje pytające spojrzenie powiedział coś, co zabrzmiało jak nazwisko jakiegoś Irlandczyka – Sam O’Gone. Napełnił wyszczerbione szklanki, chwycił swoją i wlał w gardło całą zawartość. Oczy mu zabłyśły. Poszedłem w jego ślady. Ocknąłem się, sądząc po wskazówkach zegara, po kilku minutach. Jako racjonalista nie wypada mi tego mówić, ale czułem się, jakby moje ciało, a zwłaszcza przetyk, zetknęło się z ciemnymi mocami, w które wierzyli ludzie w średniowieczu.

-Ccccoo... to było? – wybełkotałem.

-Mówiłem już, samogon. Lokalna specjalność. Można się przyzwyczać. – odparł. Nie byłbym taki pewien.

-No, siadaj pan prosto i słuchaj uważnie. Europa Środkowa to nieciekawe miejsce. A okolica, w której przyszło mi pracować to esencja tej nieciekawości. Region zatrzymał się w rozwoju. Tubylcy kultywują gusła, przesady i wierzenia, od których włos się jeży na głowie. I to jest właśnie bezpośrednia przyczyna zagadki, którą chciał pan rozwiązać. – jego wywód niewiele wyjaśniał.

-To znaczy? – wspomnienie samogonu nadal nie pozwalało mi na wyartykułowanie pełnego zdania.

-Nie przerywaj pan. Ludzie wierzą tu w różne byty nadprzyrodzone, jakieś duchy, wampiry, wilkołaki, demony. Najistotniejsze z naszego punktu widzenia jest to, że traktują je najzupełniej serio i starają się je zwalczać. Dlaczego najistotniejsze, zapyta pan? Otóż uświadomienie sobie tego faktu stanowi rozwiązanie zagadki zaginięć. Rozumie pan? To banalnie proste. Proszę mi opisać kilku przykładowych mieszkańców innych planet. – Poprosił. Wstrząśnięty nie do końca rozumiałem i nie mogłem wykrztusić słowa.

-No, panie Tichy... mam panu podpowiedzieć? Panu, słynnemu podróżnikowi? Czy Inni wyglądają tak jak my? Niektórzy z grubsza tak, ale tylko z grubsza. Pozostali to, obiektywnie patrząc, stwory nie z tej ziemi. – tu zaśmiał się z dwuznaczności swej wypowiedzi.

-Macki, łuski, czułki, ogony, płetwy itd. – to wszystko sprawia, że miejscowi postrzegają pozaziemców jako demony – kontynuował. Zawirowało mi w głowie, tym razem od jego słów. No jasne – autochtoni potraktowali turystów tak, jak traktowali przedmioty swych przesądów.

-Co oni im zrobili? – na szczęście SzeF zrozumiał, co dokładnie oznaczają zaimki w moim pytaniu.

-To proste. Osinowe kołki, srebrne pociski wystrzeliwane z broni palnej, woda święcona, egzorcyzmy. – odparł.

-A co z ciałami? – spytałem prawie ze łzami w oczach.

-Oczyszczający ogień. Ciała spopieleno i rozsypano na wietrze. – upiorny sens odpowiedzi ledwo do mnie dotarł.

Zamilkliśmy. SzeF wychylił trzecią szklankę cieczy. Ja nie znalazłem w sobie odwagi. Po chwili, kiedy chyba na skutek pierwszej i jedynej wypitej szklanki moje myśli zaczęły krążyć żywiej i obraz zdarzeń zaczął się układać w logiczną całość, zapytałem:

-Wiecie co się zdarzyło, wiecie dlaczego. Ale skąd wiecie kto? I kto to jest?

-Odpowiedź na to pytanie dała nam współpraca z lokalną policją. Kiedy przedstawiliśmy im naszą wersję zdarzeń, bez wahania wskazali najbardziej prawdopodobnego podejrzanego. To gość, jakich nie spotyka się w naszych czasach. Mieszka w Starym Majdanie pod Wojśławicami (nazwy miejscowości zazgrzytały mi w uszach). To na południe stąd. Facet ma obsesję na punkcie demonów, a środki, jakie stosuje do ich zwalczania są zabójcze. Cała tajemnica.

- Dlaczego zatem nie zatrzymaliście podejrzanego? – spytałem lekko wzburzony.

-Facet coś wyniuchał i ulotnił się ze swojej nory. – widząc moje zaskoczenie dodał – Ze swojego miejsca zamieszkania. Rozesłaliśmy listy gończe, wyznaczaliśmy nagrodę, znajdziemy go, bez obaw.

Powoli docierało do mnie uczucie potwornego wstydu. Wstydu za całą Ziemię, chociaż powodem tego wstydu było to jedno zacofane miejsce w Europie Środkowej. Wstyd przed całym Kosmosem, że tu, na tym zadupiu, które jednak znajduje się na Ziemi wciąż odprawia się nieprawdopodobne gusła.

-No, niech pan walnie na drugą nóżkę, a humor się panu poprawi. A drania złapiemy, bo mamy pewien ślad. Łobuz uciekając zostawił w swojej chałupie zestawienie celów do likwidacji. Niech pan zerknie. – podał mi zdjęcie, na którym widniał świstek papieru pokryty gryzmołami.

-Widzi pan? Drań wypisał miejsca, w których najczęściej pojawiali się pozaziemscy turyści. O proszę! Gminne Centrum Kultury w Wojsławicach. Tam zniknął pierwszy z turystów. Podziemia kredowe tu, w Chełmie. To już drugi. Trzeci w Zamościu na rynku, pod ormiańskimi kamienicami. I tak dalej, i tak dalej. Wystarczy, że obstawimy miejsca, w których jeszcze nie zaatakował, a sam wpadnie w nasze sidła. – Szef wyraźnie zadowolony rozparł się na fotelu.

-A jaki jest pańskim zdaniem kolejny cel? – spytałem z ciekawioną.

-To będzie nr siedemnaście. O tu! – wskazał palcem rząd gryzmołów na powiększonej fotografii.

-Biblioteka Publiczna im. Zofii Nałkowskiej w Wołominie. – odczytałem z trudem. Wypiłem na drugą nóżkę. Sprawa rozwiązana. Czas do domu.

Niniejsze wypociny nieudolnie nawiązują do prozy Stanisława Lema. Postać Ijona Tichego została ukazana na tle realiów z opowiadań autorstwa Andrzeja Pilipiuka.

Autor: Jacek Czarnóg